

Spór o komedię

Nie wiem. Zrećnie przeprowadzonej intrygi? To mało. Historii? Zaprezentowana komedia jest przecież komedią historyczną — siega czasów poprzedzających o lat 30 i kilka chwilę swojego powstania. Tu warto się na moment zatrzymać. Komedia powstała w roku 1851. W tym samym roku Ludwik Napoleon Bonaparte dokonuje zamachu stanu — rozpoczyna się epoka Drugiego Cesarstwa. Rzecz charakterystyczna, że Scribe sięgnął w tym właśnie czasie po temat napoleoński. Bohaterem jest przecież oficer Napoleona przypadkowo wplątany w niepoważną aferę polityczną. Jest reprezentantem honoru z wszystkimi innymi cechami tradycyjnego oficera — szlachcica. Jako taki popada w konflikt z reżimem Ludwika XVIII. Wniosek jest jasny, a zbieżność dat nieprzypadkowa. Scribe pracował z określoną intencją polityczną — ewokował bohatera tradycji, służył celom doróżnym, wykorzystywał koniunkturę chwili. To moglibyśmy ostatecznie dąrować. Ale gdybyż to była historia. Trudno wymagać od popularnego komediopisarza, by zarządził Stendhałem, ale po lekturze tego ostatniego trudno też uwierzyć w sielankowy obraz epoki — niegroźne, zlagodzone, ufermowane konflikty, sympatyczni bohaterowie. Nikt w tej komedii nie został nawet konsekwentnie ośmieszony — ani bezwzględny prefekt departamentu, baron Montrichard, bo przecież nie akceptuje moralnie swojego postępowania wobec Henryka i on mu właśnie przynosi wybaczenie, ani groteskowy de Grignon, bo okazuje się w końcu wyłącznie synem swojej potencjalnie bohaterkiej matki i staje się dla widza postacią sympatyczną. Kto wie, może podbita jego nieprzejednaną choć komiczną odwagą hrabina, kobieta w leciech, a nie mająca już nic do stracenia zdecydowała się go poślubić? Jedna Numa wychodzi za swojego Pompiliusza, podobny los drugiego nie jest wykluczony. Błogo usposobieni widzowie rozchodzą się do domów wzmocnieni na duchu — są ludźmi serio, myśli

rozsądnie i mają prawo na pozbliżliwy stosunek do świata. Rzecz kończy się dobrze, wszyscy są ogromnie szlachetni, cóż z tego, że nieprawdziwi. Ale gdyby np. babina się uparła, i nie zwróciła słowa Henrykowi? Czy szlachetny młodzieniec zgodziłby się wziąć ją na kark? Czy znalazłby jakieś pośrednie rozwiązanie? Byłby wtedy może nielichy dramat, ale Scribe dbał o spokojny sen swoich klientów.

W tym zbożnym dążeniu poszedł za nim nasz teatr. Jakież inne względy mogły nam kierować? Odpędzam od siebie prymitywne posądzenie, że w atmosferze węższenia spisku na każdym kroku znalazł aktualną aluzję. To byłoby nieprawdopodobnie humorystyczne. Uzasadnienia wyboru dostarczyła pewnie postać prefekta — karierowicza, wiernego sługi wszystkich kolejnych reżimów, do których z zaskakującą łatwością, szybko i adekwatnie dostosowuje swoje polityczne przekroczenia. Cóż z tego, kiedy Bolesław Bembor zrobił bardzo wiele, by postać barona Montricharda uczynić mimo to sympatyczną, zresztą niekoniecznie wbrew autorowi, choć wbrew satyrycznej koncepcji reżysera przedstawienia — Elwiry Turskiej. I przy tym nie można powiedzieć, by grał źle. Był kulturalny i niebezpieczny, a jednocześnie odznaczał się wytwornymi zgoła manierami. Jednak satyryczna koncepcja nie wyszła. Była zresztą tak bardzo subtelna, jakby ktoś groził w stronę teraźniejszości smukłym paluszkami. Co za krwiożeczność!

A może chodziło po prostu o francuską komedię? Ale tu wybór jest tak wielki, że nawet przypadkiem, mimo woli można się natknąć na rzeczy zdumiewające. Np. grana ostatnio w Warszawie, w teatrze Ateneum, na wskroś współczesna, drapieżna i przewrotna nieco komedia Marcela Aymé „Ich głowy”. Ta nie łagodzi konfliktów — przeciwnie. Iskry się wprost od satyrycznych, zjadliwych wypadków, które widownia przyjmuje

jako własne. Ale po co tak daleko szukać. Nie tylko Hugo ze Scribem reprezentują połowę XIX wieku we Francji. Jest również w tej epoce poetycki i finezyjny teatr Musseta — Bydgoszcz nie miała jeszcze szczęścia go oglądać. Nie wierzę, że jest za trudny. A może by tak — naprawdę?

Pozostają więc raczej utyliitarne — dostarczyć owym „rzeszom miłośników” łatwiutkiej rozrywki. I tutaj — niepowodzenie. Bo tej rozrywki jest bardzo mało. Dowcip już nieco zwietrział i darcenne są wszelkie zabiegi zmierzające do jego odświeżenia. Reżyseria obliczona była na huragan śmiechu tam, gdzie widza stać często tylko na uśmiech. Stąd chwilami szarża na scenie, a irytacja na widowni.

Aktor w takiej komedii musi się odznaczać bezbłędnym opowiadaniem rzemiosła — musi ładnie, swobodnie mówić, poruszać się z wdziękiem, posiadać jakieś maniere — rzecz dzieje się w salonie. Wszystko to nieangannie niemal robiła Danuta Wilowicz — Zachariusz w roli hrabiny d'Autreval, stylowo zakochanej w Henryku kobiety w wieku nieco pobażakowskim, zawsze triumfującej, nawet wtedy gdy musi ustąpić. Również i Zdzisław Józwiak sprostał na ogół zadaniu we wdzięcznej czeszłej roli porywczego i szlachetnego rycerza, Henryka de Flavigneul. Natomiast jego romanśowa partnerka — Lucyna Cwiklikówna jako Leonia operowała starowoczo zbyt ubogim zespołem środków — wszelkie przeszczenia dziełmiennie gwałtownym trzępotem rzesz. W innej zupełnie komedii grali Józef Kucielny jako Gustaw de Grignon i Jerzy Złotnicki jako podoficer. Jeżeli szarża Kucielnego mogła jednak rozśmieszyć i spór z tym można jedynie postawić na płaszczyźnie dyskusji o koncepcji roli, to wejścia Złotnickiego doprowadzały do gwałtownego ruszania ramionami Bełkotać i to świadomie bełkotać na scenie nie wolno. (Przykro mi to pisać — pamiętam jeszcze swoje gorące i serdeczne wrzaski na „Ulicy Granicznej”). Poza tym całość była zgrabna i gładka, a nie dla wyłożonych wyżej racji ogólnych w dalszym ciągu pozostaje malkontentem. Jednak tym razem malkontentem — optymistą, czekając — na razie — na Anouilha.



Miejsce recenzenta w tym sporze zostało już wyznaczone. Uczynił to — nie bez pewnej słuszności — autor programu pisząc, że „dochodzący tak często do głosu spór między krytyką a publicznością teatralną... jeśli chodzi o Scribe'a — od wielu lat aż po dzień dzisiejszy rozstrzygający bywa na korzyść pisarza przez szerokie rzesze miłośników jego twórczości”. Coś w tym musi być skoro obie strony tak długo się upierają. W każdym razie do świętej zgody w tej materii nawoływać nie będę. Wprawdzie „szerokich rzesz” nie widziałem, ale mniejsza o szczegóły.

Scribe jest klasykiem techniki komediowej. Jego konstrukcyjne mistrzostwo stanowiło niewyczerpane źródło inspiracji dla całego wieku komedii francuskiej. Uczyli się na nim pokolenia dramaturgów, zwłaszcza lżejszego kalibru, wszelkiego rodzaju producenci repertuaru rozrywkowego aż po bulwarową fańsę. Zyskał też niebywale powodzenie i rozgłos nie biorąc zresztą udziału w burzliwych bataliach artystycznych swoich epok (co najmniej kilku — żył 90 lat!). Jego komedie historyczne opowiadane są tonem poufnej anegdoty. Scribe nie stawiał sobie zadania interpretacji historii. Był na miarę swojego widza — przy czyn historycznych wydarzeń szukał z powodzeniem (scenicznym!) w królewskich alkowach i salonach. W ten sposób o poklask nie trudno. Widownia nie żądała niczego więcej. Przypominał fryzjera — kreatora dyktowała publiczność. Zresztą fryzjera niepospolitego, fryzjera-artystę, znawcę historii; dawał peruki wdzięczne, zgrabne, w guście epoki.

I czego my w nim szukamy?

PTZP w Bydgoszczy: E. Scribe i E. Legouve — „Walka kobiet”. Opracowanie dramatyczne Adama Grzymały-Siedleckiego. Reżyseria Elwiry Turskiej, scenografia Karola Gajewskiego. Premiera 16. II. 1961 roku.